

**Rola Piotra Bednarza
w solidarnościowej opozycji niepodległościowej
na Dolnym Śląsku.**

W najnowszych dziejach Polski, tak w XIX, jak i XX stuleciu, niemal każde pokolenie stawało do walki o wolną Polskę. Była to najczęściej walka orężna – w dobie powstańczych zmaganiań po to, by Niepodległość odzyskać, bądź w obronie jej suwerennego bytu, tak jak działo się to w roku 1920 czy 1939. Bój, choć bezkrwawy, toczył się wszakże i na innych polach. W XIX stuleciu, wbrew zaborcom, toczono walkę o język, ziemię i wiarę. W drugiej połowie XIX stulecia zwycięsko zakończyło się dramatyczne starcie o duszę chłopca i robotnika, którym starano się wmówić – w pierwszym przypadku, że są cesarscy lub carscy, a nie polscy; w drugim, że jako proletariusze w ogóle nie posiadają ojczyzny. W wieku minionym, gdy krótka, międzywojenna niepodległość nie została się pod wspólnym naporem żołdaków spod znaku swastyki i czerwonej gwiazdy, odpowiedzią stało się podziemne państwo i żołnierski wysiłek na wszystkich frontach światowej wojny. Zaś w czasie, gdy wielcy tego świata na nowo ustanawiali sfery wpływów, oddziały Armii Krajowej w czasie akcji „Burza” czynem zaświadczały, że Polska istnieje – aż po warszawską hekatombę w sierpniu i wrześniu 1944 roku. Przy biało-czerwonym sztandarze do tragicznego końca trwali wreszcie ich następcy – żołnierze powojennej już, niepodległościowej konspiracji, „żołnierze wyklęci”. W ciąg ten, najczęściej tragiczny, a zawsze chwalebny, wpisali się ludzie „Solidarności”. Ruchu, który nie orężem, ale cywilnym, powszechnym protestem, zmienił bieg historii. Nie tylko Polski, która po latach zniewolenia odzyskała suwerenność, ale całego kontynentu.

Pośród bohaterów niepodległościowej opozycji nie tylko w regionalnym, dolnośląskim, ale i ogólnopolskim wymiarze, poczesne miejsce przypada

Piotrowi Bednarzowi. Cóż zatem sprawiło, że ten młody, bo w roli 1980 liczący dopiero trzydzieści jeden lat robotnik, stał się – obok innych związkowych przywódców – symbolem walki o „Solidarność”? Czy dlatego tylko, że nie zrezygnował z oporu, lecz współorganizował go po wprowadzeniu stanu wojennego? Czy dlatego, że trwał, pomimo realnych zagrożeń, w solidarnościowym podziemiu? Czy dlatego, że nie złamało Go – choć doprowadziło do jakże dramatycznego kroku – więzienie? Bez wątplenia każdy z tych elementów składa się na zgodny z prawdą istotny fragment odpowiedzi, niemniej jednak w moim głębokim przekonaniu znacznie ważniejsze jest coś, co w społecznym życiu występuje, dziś zwłaszcza, niezwykle rzadko. Coś, co zwykle określa się mianem poczucia służby. Służby w słusznej sprawie.

Co w czasie niełatwej drogi, obranej przez Piotra, było dlań niewzruszonym drogowskazem? On sam, nieskłony do składania werbalnych deklaracji, w gruncie rzeczy nie podejmował tego tematu. Nie ulega wszelako wątpliwości, że niezwykle poważnie traktował społeczny mandat, powierzony Mu wprawdzie przez „Solidarność” macierzystego zakładu, „Dolmelu”, a niebawem i przez I Walne Zebranie Delegatów Regionu Dolny Śląsk. Wydaje się jednak, że kluczem do zrozumienia postawy Piotra jest wydarzenie, które miało miejsce przed VII Zajeźdnią przy ul. Grabiszyńskiej w pierwszą rocznicę sierpniowego protestu. Wówczas to członkowie Zarządu Regionu Dolny Śląsk, przed odsłonięciem pamiątkowej tablicy (na zachowanym zdjęciu widać Piotra pomiędzy Władysławem Frasyniukiem a Eugeniuszem Szumiejką) złożyli uroczystą przysięgę. Regionalni związkowi przywódcy, „zgrupowani w miejscu, w którym zrodził się nasz ruch, świadomi przyjętych na siebie obowiązków, pod słowem honoru w obliczu Boga” przysięgali: „przestrzegać statutu naszego Związku i strzec realizacji umów społecznych zawartych w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu. Wszystkimi siłami umysłu i serca, mocą woli i rozumu, rozważą ducha nie dopuszczać do ograniczenia niezależności i samorządności naszego Związku. Kontynuować polskie tradycje tolerancji i nie

ustawać w walce o ochronę praw i godności człowieka i rodziny ludzkiej. Czcic bohaterskie czyny przodków naszych i nie pozwolić, by poszły one w zapomnienie, ucząc młode pokolenie pracy, uczciwości, obrony honoru i dobrych obyczajów. Walczyć nieugięcie o dobro naszego narodu i oddać swoje siły na służbę najjaśniejszej Rzeczypospolitej, ojczyźnie wszystkich Polaków”. Zarówno treści owej przysięgi, jak, co ważniejsze, jej duchowi Piotr Bednarz nieodmiennie pozostawał wierny.

Droga, która zaprowadziła Piotra do wielomilionowej „Solidarności”, również nie była przypadkowa. Nim w wyniku demokratycznych wyborów został wiceprzewodniczącym Zarządu Regionu Dolny Śląsk, ponadmilionowego, drugiego co do liczebności w kraju, przez 13 lat pracował we wrocławskim „Dolmelu”. Zaczynał na stanowisku ślusarza remontu maszyn, ale jesienią 1970 roku został powołany do odbycia zasadniczej służby wojskowej. Służbę tę – jak mówił podczas obszernych wyjaśnień, składanych w czasie swego grudniowego procesu – pełnił w szczególnie trudnym okresie. Na Wybrzeżu, w trakcie robotniczych protestów, połała się krew, dlatego też wydarzenia owe zaciążyły na Jego świadomości. Poddawany był, jak wszyscy pełniący wówczas służbę, prymitywnej indoktrynacji, ale w Pamięci utkwily u przede wszystkim słowa ówczesnego premiera, grożącego obcięciem ręki tym, którzy sprzeciwią się władzy, mieniącej się ludową. „Twierdzą – pointował w swym wystąpieniu – że gdyby ten człowiek był do dnia dzisiejszego premierem, to większość Polaków byłaby bez ręki” ...

Do macierzystego zakładu powrócił po odsłużeniu wojska, ale Jego stanowisko pracy było zajęte, toteż zatrudnił się na Wydziale Tłoczni. „Jest to – podkreślał – jeden z najbardziej szkodliwych wydziałów zakładu, gdzie większość pracujących to kobiety” przerzucające „tony blach z jednego miejsca na drugie”. Tu właśnie dostrzegł zakłamanie systemu, dramatyczny rozdział pomiędzy deklaracjami i rzeczywistością. Naturalny słuch społeczny i demonstrowany już wówczas sprzeciw wobec mechanizmów, panujących w

zakładzie, przełożyły się na wybranie Piotra na wydziałowego wiceprzewodniczącego Związku Zawodowego Metalowców. W ostatniej dekadzie lipca 1980 roku, w czasie, gdy przez Dolny Śląsk przetaczała się pierwsza fala strajków, to właśnie On reprezentował załogę podczas rozmów z dyrekcją w sprawie postulatów pracowniczych. Trudno się zatem dziwić, że w miesiąc później znalazł się w gronie reprezentantów „Dolmelu” w momencie, gdy wrocławski strajk solidarnościowy silnie wsparł Wybrzeże.

Piotr, jak wielu innych, zaangażował się w tworzenie nowego, niezależnego związku. Wpierw czynił to na swym Wydziale, a od stycznia 1981 roku, gdy komitety założycielskie dzięki przywracanym demokratycznym procedurom wyborczym przekształcały się w komisje zakładowe, stanął na czele dolmelowskiej „Solidarności”. Wreszcie, od 1 lipca tegoż roku został zastępcą do spraw ogólnych przewodniczącego Związku, Władysława Frasyniuka, w całym Regionie. Piotr, przyjmując na siebie nowe obowiązki, mógł poznać społeczne realia w makroskali. To na nim spoczywały niełatwe rozmowy z administracją w sprawie reglamentacji żywności i towarów, to On, z upoważnienia Zarządu, zajmował się pilotowaniem przygotowywanej przez Związek reformy gospodarczej i wspieraniem powstawania samorządów pracowniczych.

Czym w działaniach tych się kierował. „Jestem robotnikiem – podkreślał podczas procesu – i walczyłem o poprawę warunków bytu dla robotników, dlatego, że obdarzyli mnie swoim mandatem zaufania. Nie walczyłem o władzę”. Stąd szok, gdy totalitarna władza sięgnęła po brutalną siłę, mającą poskromić aspiracje społeczeństwa. Dla Piotra to właśnie 13 grudnia, dzień wprowadzenia stanu wojennego, „położył kres demokratyzacji i liberalizacji życia. Twierdzę – oskarżał – że stan został wprowadzony bezpodstawnie. Ja – podkreślał – pracując w Zarządzie Regionu nie widziałem takiej potrzeby, żeby wypowiedzieć wojnę robotnikom. Rada Państwa – argumentował – nie miała prawa wprowadzić stanu wojennego, bo nic nie zagrażało naszej suwerenności i

naszym granicom”. Piotr wypowiadał nie tylko własną opinię. „Kiedy byłem na terenie zakładu 14 grudnia 1981 r. – przypominał – pytano mnie, przeciwko komu ten stan wojenny. Widziałem w oczach tych ludzi łzy i nienawiść. Widziałem przejeżdżające czołgi z lufami skierowanymi w zakłady pracy, w ludzi, którzy znajdowali się w tych zakładach. W ludzi bezbronnych, bo nikt z nich nie miał karabinu i nie ma do dnia dzisiejszego. W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. wyciągano ludzi z domów. Wyciągano ojców i matki, a dzieci pozostawiano bez opieki rodziców. To pozostawi w tych młodych umysłach ślad na bardzo długi okres. Nie można – konkludował – zmienić życia gospodarczego ani społecznego za pomocą dekretu w ciągu jednej nocy. Nie można zmienić także umysłów”. I pytał: „co wyrosnie z tych pokoleń, które wychowują się w domach dziecka, gdy ich rodzice są aresztowani lub internowani. Jaki ślad pozostawi w tych umysłach ta wojna przeciw ludziom, którzy pracują dla tej Ojczyzny”. I podsumowywał lapidarnie: „Tak się nie godzi” ...

To, że Piotr zdecydował się na sprzeciw, na wejście w skład Regionalnego Komitetu Strajkowego, było logicznym zwieńczeniem Jego dotychczasowej drogi. Był, podobnie jak inni członkowie tej związkowej reprezentacji, za podjęciem oporu, ale też za jego skanalizowaniem, za nie dopuszczeniem do tragedii, do ofiar. Czynił to przez cały okres swej konspiracyjnej aktywności, zarówno wówczas, gdy zastępował Frasyuniuka, i wtedy, kiedy po jego zatrzymaniu stanął na czele podziemnej związkowej struktury. Postawiony zaś przed sądem, tłumacząc motywy swego postępowania deklarował: „31 sierpnia 1981 roku w rocznicę powstania NSZZ <Solidarność> złożyłem przysięgę przed ołtarzem i ludźmi zgromadzonymi przed zajezdnią na ul. Grabiszyńskiej Nie byłem osobą mianowaną, lecz wybraną przez robotników i tylko oni mogli mnie zwolnić z tej funkcji. Moim obowiązkiem było być tam, gdzie byli robotnicy”.

Był tylko, i aż – wierny przysiędze.

O realne dokonania Piotra, zwłaszcza w ich podziemnym, konspiracyjnym wymiarze, można się spierać. Nie ulega jednak wątpliwości, że swym podpisem pod apelami czy oświadczeniami RKS-u dokumentom tym zapewniał wiarygodność. Ponoślił tym samym pełną odpowiedzialność za kształt solidarnościowego oporu tak w regionalnym, jak i krajowym wymiarze. Nie złamało go, wbrew pozorom, i więzienie, choć odosobnienie, a zwłaszcza perfidne psychiczne naciski, znosił źle. Pomimo to od niepodległościowego sztandaru, gdzie biało-czerwonej barwie równoprawnie towarzyszyła nazwa niezależnego Związku, nie odstąpił. Stał się symbolem robotniczego oporu, choć gdy „Solidarność”, pomijając tu wewnętrzne spory, rozpoczęła marsz ku jawności, nie zawahał się wejść w skład kierowanej przez Frasińskiego, a powstałej 3 grudnia 1987 roku Regionalnej Komisji Wykonawczej, gdzie odpowiadał za kontakty z zakładami pracy.

W wolnej Polsce nie „przepraszał za Solidarność”. Pozostał związkowym działaczem, a nie beneficjentem zmian. Był człowiekiem, który do odrodzonego Związku bodaj najpełniej przynosił tradycje Sierpnia i wartości, wpisane w zapoznany dziś program „samorządnej Rzeczypospolitej”. Ta wierność sprawie dziś, w dobie przewartościowania, wywołanych ciśnieniem współczesności, może budzić uśmiech zażenowania wywołany i zwyczajnym niezrozumieniem, i źle pojmowaną polityczną poprawnością, nakazującą „wybierać przyszłość”. A przecież bohaterstwo, nawet ciche, powinno być, tak jak dzieje się to dzisiaj, doceniane nie tylko przez odległą, przyszłą historyczną opowieść. Powinno być wzorcem żywym, bo tylko na takim fundamencie możemy zbudować trwałe gmachy Rzeczypospolitej. Takiej, o jaką walczył Piotr Bednarz.